



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

RODZINA RYBACKA.

Już rybak z burzliwą falą,
Z wichrami idzie w bój,
Już jękiem dna mórz się żalą,
Łka niebo, huczy zdroj.

Rybaczko, od zórz zarania
Patrz w czarną noc i w dzień,
Czyli się wśród mórz nie ślania
Znajomój łódki cień?...

Ucz dźwiatwę, jak łódź poznawać,
W oddali ojca łódź,
Gdy siły chcą ci ustawać,
Nadzieją siłę cuć.

A gdy już niebieskim stropem
Zachwieje wściekłość burz,
I strzeli piorunów snopem,
Ty z dźwiatwą ręce złóż:

Ty módl się za łódkę droga,
Któż wytrwałby wśród mąk,
Jeśliby nie miał do kogo
W czas burzy składać rąk...



Rodzina rybacka.

KRÓLEWICZ-TUŁACZ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Dostyc tego! czyniliśmy wszystko, co było można; wracajmy bez Svenssa, jeżeli nie mamy wszyscy pójść za nim! — rzekł Svensson, rybak surowy i sam już niezbyt młody, wskazując na straszliwą ławicę chmur, wjawiającą się na widnokręgu. Svensson po kilka razy wracał do wody, szukając ojca, a potem opływał łódką dalekie kręgi, w myśli, że może go dalej uniosły fale, a teraz stawał na czele rybaków, czując, że obowiązki ojcowskie spadły na niego.

Twarde dusze rybaków nieskore są i nieskłonne do poddawania się wzruszeniom. Lyks, najstarszy wiekiem po Svensie, powstał w łodzi swojej, odkrył głowę, i ręce obie wyciągnął ponad fale, a siwą głowę wznosił w niebo; wszyscy uczynili toż samo: cicha modlitwa bratnia spadła jak wietrzyk na wilgotny grób, który dopiero co pochłoniął Svenssa, i rybacy posunęli ku domowi. A gdy łódź Svenssona wyprzedziła już inne, aby im przewodniczyć, a w niej Gustaw wespół zmartwiały tym, co zaszło, nie mógł widzieć, co działo się za jego plecami, wtedy wszystkie pięści rybackie podniosły się, grożąc mu ze złością, tym zacieklejszą, że bezsilną, i stary Lyks powiedział:

— Ta rzecz niepojęta ze Svenssem stała się przy pierwszym wstąpieniu tego chłopca na słoną wodę; ci z nas, którzy ujrzą jeszcze swe chaty i wrócą do ognisk swoich, niech nie puszczają się z nim na wodę po raz drugi!

Odpowiedziały mu tylko gesta twierdzące, a potem dwadzieścia kilka łodzi płynęło dalej w ciągłej walce z burzącym się żywiołem, za pierwszą łodzią, która w rybaków przekonaniu wiodła ich do zguby, ponieważ Gustaw w niej siedział. Wszystkie dawne uprzedzenia do chłopca, który niewiedzieć z kąd wziął się na wybrzeżu, wróciły ze zdwojoną siłą. Pomimo chrześcijańskiej wiary, stare przesady panują potężnie u norweskich rybaków. Jeżeli w owej chwili pierwsze lepsze wiosło nie roztrzaskało głowy Gustawa, to tylko dla tego, iż w przekonaniu ich, nikty nie zdcał pokonać tej tajemnicznej istoty. Lękano go się tak bardzo, że nie śmiano nawet przenieść go na inną łódź, aby w przodującej płynąc, nie powiódł tempredziej wszystkich innych na zgubę.

Nienawiść wraz ze strachem wzrastała ciągle, a gdy narzecie przybito do brzegów, prawdziwe zdumienie ogarnęło rybaków, bo sądzili, że zginąć byli powinni. Kobiety stały na najwyższych skałach nadbrzeżnych w okrutnym niepokoju, wyczekując tam oddawna powrotu mężczyzn, jak za każdą wyprawą. Już z daleka znaki umówione rybackie zawiadomiły wyczekujących, że jeden z tych, którzy popłynęli, nie wróci. A gdy najpierwsza łódź zbliżyła się o tyle, że można było ujrzyć Svenssona zamiast Svenssa u steru, głuchy jęk rozległ się wśród gromadki kobiet i działy na jednej ze skał: wiekowa niewiasta zeskoczyła z niej, jak dzika koza i rzucając się na sieci, których Svens używał, oblewała je łzami, dochodząc do szatów dzikię rozpacz w tej strasznej chwili, której ze drżeniem oczekiwała od lat czterdziestu za każdą rybacką wyprawą. Dzieci, wnuki i krewni szlochali gwałtownie, ale ręce tymczasem wśród najgorętszej boleści już wyładowały bogaty połów i natychmiast rozpoczęto zwykle przygotowania do suszenia ryby, która przecież czekać nie może... Izy musiały oschnąć prawie zaraz, aby w suszeniu ryb nie przeszkadzały. Gustaw układał popłatane na dwie połowy sztokfiske na płaskiej powierzchni skały pod kierunkiem Svenssona wraz z innymi, nie widząc zgrozy, jaką wzniewał wśród usuwających się od niego rybaków.

— Spójrzycieno na jego ręce! czy widzieliście kiedy u człowieka takie ręce, jakby ze śniegu, albo z welny młodego jagnięcia białego zrobione?... — mrucał jeden z otacza-

jących, i słusznie, bo ręce Gustawa, mimo ciężkiejrył pracy, nie podobne były do rąk innych rybaków.

— A taki rozum, czy widzieliście kiedy u dziecka? taką?

— A takie drobne nóżki, któreby tak piąć się po skł po ptasiemu umiały?

Tak szeptałi rybacy i usuwali się od mniemango z którym stosunek musi przynieść człowiekowi nieścisła, bo złośliwe karły, kujące metale pod ziemią, w skałach, węgii, istoty wstrętne i czarne, gdy wychodzą ze swych kryjówek, umięją czasem przybierać i piękne postacie, byle tylko ludzi nabawić. A tym uwagom zaprzeczali inni:

— A właśnie że nie, to tylko elfy, mieszkający w potrzu, piękni bywają, i dla tego ja zawsze powiadam, musi być elf, który na skutek jakiejs ze Svenssem umowy gnieździł się pod jego dachem, a teraz, gdy Svensson nie zobaczycie, że coś się stanie!...

Jakoż stało się tyle przynajmniej, że mały Gustaw, straciwszy dwóch jedynych przyjaciół, Sokołka i Svenssa, oddał do reszty, i stał się témbardziej do istoty obcej, zabłąkany wśród rybaków podobny. Dawniej Svensson kazał mu pracować jak własnym wnukom i jednakowo się z nim jak z dzieckiem obchodził, teraz nikt niczego nie żądał od dziwnej istoty, tylko ko aby zesza z oczu ludzkich: niepojęte nieszczęście, jakie stało się ze Svenssem przy pierwszej wyprawie Gustawa na słoną wodę, postanowiło o losie chłopca, żaden rybak odtąd nie stąpił na słoną wodę w towarzystwie podejrzanęj istoty.

Usuwano się od chłopca w milczeniu, nie żądając od niego nie ważąc się odmówić mu stawy, dachu lub odzienia. Praca i serca nie dawano tylko, bo wedle przesady, praca dla istoty przynosiła nieszczęście, a serce trudnoż było mieć dla niej. Ponura groza, wiejąca od ludzi, otaczała chłopca w wodach do grozy natury. Z początku rad był, że nie kazał mu pracować, później, poczuwszy dziwne swe osobończenie, wolał być, aby obchodzono się z nim surowo, ale tak, jak z każdym rybackim dzieckiem, jak Svensson się z nim obchodził. Ale Svenssa nie było i ciężka dola rybackiego dziecka upragniona teraz dla nieszczęsnego chłopczyzny, która niepojęta była.

Zawsze myślący i pełen przeróżnych uczuć i nastrojów, nieznanym rybackim dzieciom, co go też własną osobą wyróżniało, Gustaw teraz całe doby przepędzał w wodach, szukając czegoś, z czego sam sobie sprawy zdać mógł, a wracając do chat tylko przyciśnięty głodem lub mrozem. Gdy zniknął na dłuższy czas, nadzieja ogarniała ostatecznie „obcy duch” nie wróci może; gdy wracał, zdawało się, że ciężar spadał znów na wszystkie piersi. Gustaw, dzieckiem wychowany wśród ludności zaledwo unicyjnącej wyrażać myśli, nie umiałby był powiedzieć, co czuł, ale niemniej że coraz ciężej i jemu było żyć na świecie. Nie wiedział, czego szukał, choć zawsze włóczył się, i wspinał, i zwał wśród najstraszniejszych skalistych przepaści, nad i zaułkami morskimi, zatoczkami, z głębin których nie powraca. Pierwsze jego wspomnienia w życiu do takiej nosiły się miejscowości i wśród takich snuł się teraz dni i nocami. Wstręt coraz silniejszy ogarniał go do powrotu do osady, z kąd czuł się odpychanym, głód dokuczał coraz ściej, a raz pomyślał chłopak, stojąc nad przepaścią morza:

— W taką przepaść wrzuciłem Sokołka, w taką wpadł Svens, i mnie w taką wrzucić chciano, widać, że nieniem pójść za Sokołkiem i za Svenssem — i zamierzał zejść w głębinę, gdy silna ręka pochwyciła go za ramię.

III.

Duch pychy.

Gustaw osłupiał z podziwu, bo nieznanym człowiekiem w odzianiu stał przy nim; przez chwilę przypały sobie wzajem z uwagi, aż chłopak krzyknął:

— Aha! to ja ciebie szukałem, to ty miałeś wrzucić w przepaść zawiązanego w worku i nie wrzuciłeś! — Ach! teraz przypominam sobie wszystko, ja jestem z pewnością synem króla, może króla karłów podziemnych? czyjś słuzalec? wróg jakiś ojca mego, pewno królów pow-

— Przynych przekupił ciebie, słuźalczce, abyś mię zgnubił! Czy tak? mów! czy tak?

— Prawie że tak... — mruknął niechcący sam do siebie nieznamy, patrząc wytrzeszczonemi z podziwu oczyma na dziecko, w którego umyśle poplątały się wspomnienia własne z rybackimi przesądami, przystosowanemi do niego samego, a teraz głucho obijało mu się o uszy. Prawie że tak...

— Tak? a widzisz! i tu mię między ludźmi ukryłeś? — jak przychodzisz, aby mię odprowadzić do ojca króla? — czy wódz nasz zwyciężony? A może zginął ojciec mój... czy lud powołuje mię na tron? śpieszmy! pójdź! wszak wyjście jest pewno przez Karłą-skałę? ja się tego domyślałem, ale nie umiem zejść, pójdź, pokaż drogę, wszak właśnie przyszedłeś z tej strony...

Nieznamy patrzył na dzieciaka tak, jakby powątpiewał o jego zdrowych zmysłach lub o swoich, a dzieciak ciągnął go nad czarną skałę. W rozpadlinie jej głębokiej, bezdennej na pozór, błyszczało czerwone światło, jedno z tych zjawisk przyrody, jakie zdarzają się w krainie dziwów północnych; Gustaw wskazywał mu to światelko, ale nieznamy patrzył na okręt, stojący na kotwicy na morzu.

— Czy tam jest kuźnia nasza? którąż zejdziemy?... — pytał Gustaw żywo, przekonany teraz, że jest synem króla karłów *dwergarsów* czy *drewsów* podziemnych.

— Stój! — rzekł nieznamy — ojciec twój zginął istotnie w walce z przeciwnikiem swoim, ale lud nie powołuje ciebie na tron, bo przeciwnik go zajął, lud nie chce znać ciebie, i śmierć ci grozi. Ja tu przybywam, aby uiścić zapłatę Svensowi za wyżywienie ciebie; płacić będę, dopóki nie będziesz w stanie sam zapracować na siebie, a potem pracuj i żyj tu w dzikiej swobodzie, jeżeli żyć chcesz, gdzie indziej niema miejsca na świecie dla syna twójgo ojca. A teraz pójdź, niech rozmówię się ze Swensem, niech się dowiem kto, i jakim sposobem, i ile odkrył wam prawdy... bo przecież Svens jej odemnie nie wiedział.

— Svens utonął, niema Svensa — rzekł chłopak.

— A więc rozmówię się z innymi rybakami w osadzie.

— Po co? ja nie chcę zostawać tu dłużej! Jeżeli pomoc pozbawiła mię ojca i tronu, to ukarzę przywłaszczycieli i zdobędę należną mi spuściznę; będę przynajmniej wiedział, co mam robić na świecie; przed chwilą nie wiedziałem tego i chciałem już zakończyć z tém życiem...

— Ach! czemuż przybyłem w tej chwili właśnie i przeskodziłem ci? — mruknął nieznamy.

— Toś ty taki przyjaciel! — rzekł chłopak.

— Taki, jakim twój ojciec był dla wszystkich moich...

— Tak?... to trzeba było wrzucić mię w przepaść wtedy... wiesz?...

— Jam nie zbrodniarz.

— To idź precz, a sam rzucę się w przepaść! — krzyknął chłopak z gniewem. Ale nieznamy chwycił go znów gwałtownie za ramię:

— Nie mogę na to pozwolić, przysiągłem — mruknął... był on błądliwy i drżał, oglądając się niespokojnie, przekonany, że osobistość Gustawa została odkrytą jakimś wypadkiem na tém wybrzeżu, nie wiedział sam na razie, co począć, aby jego i siebie ocalić, i przysiędże swój zadość uczynić. W początku rozmowy wziął wzmianki zabobonne Gustawa za jakiś rodzaj obłądzenia, ale prędko poznał, że się omylił, i że chłopak przebiegły i świadomy swego pochodzenia używał tylko umyślnie tajemniczo-bajecznych wyrazów, aby niemi osłonić myśli swe, i łatwiej porozumieć się z obcym mu człowiekiem. Tymczasem Gustaw, chłopak na wpół dziki, a więc pełen potężnych porywów namiętności, a przytém kierowany instynktem, i wspomnieniami, i przecuciami, jak człowiek pierwotny prawie, czytał tę trwogę i wahanie się nieznanego na jego twarzy:

— A więc, wskaż mi tylko drogę do *moich*, a dopełnisz przysięgi! — zawołał.

— Bezpieczniejszy będziesz, gdy zawiozę cię dalej jeszcze, na kraniec północnego świata, gdzie nie doleciała jeszcze wieść o nieszczęściach Szwecyi; tam ty będziesz mógł żyć nieznanym:

— Nie chcę! Nie będę żył jak ostryga nieruchoma, przyczepiona na zawsze do skały! Ja chcę walczyć, zwyciężyć i pomścić krzywdy swoje, zaprowadź mię do *moich*, albo krew niewinna niech spadnie na ciebie! — To mówiąc, Gustaw zamierzył się do skoku w przepaść, a ogień płonący w jego oczach ręczył za szczerłość słów:

— Nie! niechaj krew pada na kogo chce, byle nie na mnie, ja dotrzymam przysięgi, co zrobiłem dla dziewczyny, zrobię i dla chłopca: pójdź do swoich i giń, pyszny duchu! — krzyknął z gniewem nieznamy, i po raz trzeci schwyciwszy dzikiego chłopca już nad przepaścią, zbiegł z nim ze skały śpiesznie i oglądając się na okół. Szczeliną skalistą dostali się do ujścia jednej z mnóstwa rzeczek, wytryskujących ze skał i ginących w morzu, stała tam szalupa, i kilku majtków nabierało wodę dla okrętu, stojącego dalej na kotwicy. Zanim zbliżono się do majtków, towarzyszy rzekł cicho do Gustawa:

— Okręt ten pływie do Brunsbergu, znajdziesz tam swoich, ale pamiętaj, że chwila, w której przynasz się do krwi, jaka wre w twych żyłach, będzie chwilą twój zguby, ponieważ tamta krew, którą niegdyś niesprawiedliwie przelano, żąda krwi twojej, woła o pomstę do Boga!

W godzinę później Gustaw znajdował się na okręcie, jako domownik pana Walda, kupca z Brunsbergu. Zaledwie odpowiedziawszy na pytania pana Walda w chwili, gdy okręt podnosił kotwicę, Gustaw zwrócił się ku temu, kto go wprowadził tutaj, ale nieznanego już nie było przy jego boku. Napróżno szukał i pytał o niego chłopiec, nieznamy znikł, a przynajmniej musiał nie znajdować się na okręcie, bo nie ukazał się wcale przez cały czas podróży dwutygodniowej przeszło, gdyż zatrzymywano się przy wyspach Szetlandzkich. Przekonawszy się o jego nieobecności, Gustaw uniósł się gniewem właściwym jego naturze. On sam nic nie rozumiał z tego, co się z nim działo, ale pewien był, że miał prawo do usług i wierności nieznanego, a przytém miał pytać go o tysiące rzeczy, dotyczących ojca, i przeszłości, i tego tronu, który uroił mu się w wyobraźni niejasno wcale, chociaż to urojenie potwierdzone było niejednym słowem mniemanego słuźalca w owęj nad przepaścią rozmowie. A każde takie słowo wyrzyło się w świeżej pamięci chłopca, jakby na kamieniu. I groźby zatém były tam wyryte, te groźby zguby w razie przyznania się do krwi, która wrzała w żyłach jego. Rozumiał on je, i dla tego, nie mogąc pytać nieznanego, zamilkł, rozważając tylko jego słowa i rozumiejąc je coraz inaczej, w miarę, jak poznawał świat nowy, w którym się znalazł, opuściwszy skały norwęgskie.

Był to oczywiście świat pełen dziwów niesłychanych dla rybackiego wychowanka. A jednak Gustaw pojmował ten świat tak łatwo, jakby to nigdy być nie mogło z prawdziwym dzieckiem rybackim.

(d. c. n.)

ANNA BARBARA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY.

JADZIA lat 13

ADAŚ lat 12

PANNA BARBARA,

rodzeństwo.

osoba w średnim wieku.

(Scena w hawialnym pokoju na wsi).

Scena I.

JADZIA (sama).

JADZIA (chodzi po pokoju z kąta w kąt i porządkuje na stolikach).

Pociąg już niezadługo nadejdzie. Chciałabym, żeby już się tu od razu wszystko podobało. A jednak troszkę jestem niespokojna, ten przypisek mamy tak mnie zadziwił.

Scena II.

JADZIA, ADAŚ.

ADAŚ (wbiegając szybko).

Już konie wysłane na stacyą, lepiej, że poczekają trochę, niżby się miały spóźnić. Obaczmy więc nakoniec tę tajemniczą pannę Barbarę.

JADZIA.

Dla czegoż ją nazywasz tajemniczą?

ADAŚ.

No, bośmy o niej całkiem odmienne mieli wyobrażenie, a ten ostatni list mamy...

JADZIA.

To jest ten przypisek; przyznam ci się, że mnie to ogromnie zdziwiło i nawet w pierwszej chwili przestraszyło troszeczkę.

ADAŚ.

O, ja tam nie taki jestem tchórzliwy.

JADZIA (wesolo).

No, i ja przecież za tchórze uchodzić nie chcę; zresztą w głowie mi się pomieścić nie może, żebym się miała obawiać panny Barbary, tej panny Barbary, która taka była dobra dla naszej mamy, którą ona tak kochała i kocha zawsze.

ADAŚ.

Przyznam ci się, że ja nawet nie wiem dokładnie, co to tam było między nią i mamą, słyszałem o tém, ale mi z głowy wyleciało.

JADZIA.

O, mnie nie wyleciało z głowy i kocham pannę Barbarę, chociaż jej nie znam. Wiesz, że biedna nasza mama straciła obojga rodziców, mając ośm lat zaledwie. Opiekun oddał ją na pensyą i nie bardzo się o nią troszczył; a trzeba i to wiedzieć, że mama za życia swoich rodziców była bardzo pieczołowa, jako jedynaczka i do tego dość wątłego zdrowia. Możesz sobie wyobrazić, co się działo z mamą, gdy się dostała na tę pensyą i ujrzała się samą jedną wśród obcych.

ADAŚ.

Biedna mateczka. Ja chłopak iSTEM i znacznie starszy, a kiedy mnie ojciec odwiózł pierwszy raz do Warszawy i zostawił na stacyi, to mi tak było okropnie, k okropnie... no, dość powiedzieć, że płakałem po kątach. A jednak ja wiedziałem, że na święta i na wakacje pojedę do domu, zastanę tam ojca, mamę i ciebie.

JADZIA.

Otóż panna Barbara była na tej samej pensyi, tylko w wyższej klasie, w trzeciej już podobno, bo miała lat trzynaście. Wiesz, jak to na pensjach starsze panienki pomiatają malcami, i u was w gimnazyum pewnie jest też samo. Ale panna Barbara nie była taka, jak tylko zobaczyła biedną małą sierotkę, mizerną, zapłakaną, zaraz się z nią zapoznała i zaopiekowała, jak najlepsza starsza siostrzyczka. Ona także nie miała ani ojca ani matki, przyjęta była na pensyą, była stypendystką i kierowała się na nauczycielkę. Mama też czasem miewa łzy w oczach, gdy wspomina o dobroci tej ukochanej swojej Basi, jak ją nazywa. Trzeba ci wiedzieć, że mama była wtenczas trochę grymasna i rozmazana.

ADAŚ.

Mama, grymasna i rozmazana! to nie do uwierzenia.

JADZIA.

No, nie była przecież jeszcze wtenczas mamą, tylko małą Alinką. Ale ta Basia zawsze umiała do niej trafić tak, że o wszystkich grymasach przy niej zapominała. Starsze panienki nieraz się wyśmiewały z Basi, przezywały ją nianką, ona żartowała tylko z tego, bo była nadzwyczaj wesolego usposobienia, największy pustak, jak mówi mama, a przytém taka dobra i tkliwa. Raz mama bardzo zachorowała, dostała jakiejś gorączki, tyfusu podobno; położono ją w osobnym pokoju, jedną służącą wyznaczono, ażeby jej pilnowała, a inni wszyscy uciekali od tego pokoju, jakby od miejsca zapowietrzonego.

ADAŚ.

Oto dopiero niepoczciwość!

JADZIA.

Ależ wcale nie, inaczej być nie może na pensyi, bo inne panienki mogłyby się zarazić. Leży tedy biedna mama sama jedna, głowa ją boli okropnie, pić jej się chce, a ta służąca ciągle tylko śpi, i trzeba wołać na nią z całej siły, żeby usłyszała. Noc zapadła, cicho, straszno, mama usnąć nie może, służąca chrapie, aż tu drzwi cichuteńko się otwierają i wchodzi... zgadnij kto.

ADAŚ.

Niezawodnie ta dobra Basia; a wiesz, że i ja ją kochać zaczynam.

JADZIA.

Przyszła bez pozwolenia i przesiedziała całą noc przy mamie, a nazajutrz przełożona ją porządnie wylażała, ale w końcu dała się przeprosić i pozwoliła Basi pozostać przy mamie przez cały czas jej choroby. I od niej więc teraz wszyscy uciekali, a jej tego było właśnie potrzeba, bo nie odstępowwała mamy ani na chwilę, i nawet uczyła się przy jej łóżku, bo nauki zaniedbywać nie mogła, a tu na lekcję jej chodzić nie pozwolili, żeby panienek nie zaraziła. Doktor potem powiedział, że jeśli mama wyzdrowiała, to zawdzięcza to troskliwości Basi. Możesz sobie wyobrazić, jak się od-tąd obie pokochały.

ADAŚ.

Dośkonale to sobie wyobrażam. Ależ proszę cię, jakim to sposobem się stało, że my tej przyjaciółki mamy dotychczas nigdy nie widzieliśmy nawet?

JADZIA.

Basia, gdy ukończyła pensyą, została zaraz nauczycielką i dostała się do domu jednych państwa, którzy wyjechali na mieszkanie do Wiednia. Tak tam z nią byli zadowoleni, że wszystkie córki wychowywała po kolei, co jedna wyrosła, to druga uczyć się zaczynała i spędziła tam lat z dziesięć. Potém zaraz przeszła do innej rodziny polskiej, także w Wiedniu zamieszkałej. Mama tymczasem wyszła za męża, i dwie przyjaciółki przez cały ten czas się nie widziały, chociaż ciągle korespondowały z sobą.

ADAŚ.

Resztę już wiem, nie potrzebujesz opowiadać; mama spotkała się z nią teraz w Cieplicach, pisała to przecież. Jednak, powiem ci, że coraz mniej rozumiem ten przypisek mamy. Dajno ten list, odczytamy go raz jeszcze.

JADZIA (wyjmuje list z kieszonki i czyta).

„Moja droga Jadziu! Nie potrzebuję ci mówić, jak mię w pierwszej chwili przeraził list twój, w którym donosisz, że panna Walerya, nauczycielka twoja, musiała wyjechać nagle do chorąg ciężko matki. Wiem, że wam się nic złego nie stanie, Adaś da sobie radę ze swoim korepetytorem, tém bardziej, że wakacje kończą się niezadługo, ty jesteś bardzo rozsądna, mogę ci więc zaufać zupełnie, a Małgorzata i Janowa takie dobre i przywiązane sługi. Niepodobna jednak, abyś dłużej niż dni parę sama z niemi była w domu i chciałam natychmiast wyjeżdżać z Cieplic i do was powracać. A jednak przykroby mi było niezmiernie opuszczać ojca, który jest jeszcze bardzo osłabiony i cierpiący, chociaż kąpiele tutejsze widocznie mu pomagają, a lekarze upewniają, że przyjdzie do zdrowia. A wtém, gdy ja się tak biedzę, jak anioł przez Opatrzność zesłany, zjawia się moja Basia ukochana, ta Basia z pensyi, o której wiesz dobrze, moja droga Jadziu. Właśnie w tej chwili jest bez miejsca, chociaż ją rozrywają, ale nie przyrzekła jeszcze stanowczo nikomu i dowiedziawszy się o moim kłopotcie, zaraz ofiarowała się do was pojechać i przebyć z wami cały czas aż do mojego powrotu. Ona tu przyjechała w towarzystwie jakichś znajomych, sama leczenia nie potrzebuje, więc propozycyą jej przyjęłam z wdzięcznością. Wyjeżdża jutro raniutko, we wtorek będzie już na miejscu, wyślijcie konie na stacyą”.

ADAŚ.

Dotąd wszystko jest bardzo dobrze, a teraz czytaj ten przypisek.

JADZIA (czyta).

„Mnszę cię jednak przestrzedz, moja droga Jadziu, że Basia znacznie się zmieniła od czasów pensyonarskich. Dobra

„Zawsze, zająca, rozumna, poczciwa, ale zrobiła się trochę dziwaczka, wymagająca, zgryźliwa, jakieś ma szczególniejsze fantazy; może więc w pierwszej chwili niemiłe na was wywrze wrażenie. Pamiętaj jednak, Jadziu, jakie ja mam dla niej obowiązki wdzięczności, czém ona była dla mnie na pensyi i staraj się te wszystkie dziwactwa znosić cierpliwie, aby jej dobrze było z wami. Nie wątpię, że to uczynić potrafisz.”

ADAŚ.

Cóż ty na to?

JADZIA.

Dziwi mię to trochę; ale jeżeli panna Barbara jest zawsze dobra, rozumna, zająca, jak powiada mama, to przecież można jej trochę dziwactw wybaczyć. Ja pewnie nie zawiodę zaufania mamy i potrafię to znieść cierpliwie.

JADZIA

No, niezadługo się dowiemy... Ach, już słyhać turkot! czyżby to była ona? Trzeba wyjść na spotkanie, chodźmy, Adasiu.

ADAŚ.

Idź ty może sama, Jadziu, ja się schowam, niby mnie w domu niema.

JADZIA.

Jakżesz można, przecież wiedzieliśmy, że pociąg o tój porze przychodzi, nie powinieś się z domu wydaleć teraz właśnie. Chodźmy, Adasiu.

(Adaś się ociaga, Jadzia go chce schwycić za rękę, a gdy tak się certują oboje, drzwi się otwierają i wchodzi panna Barbara).



Gniezno (st. 15).

ADAŚ.

A jeżeli tych dziwactw jest więcej, niż trochę.

JADZIA.

Choćby i najwięcej, gdyby mi nie wiem jak dokuczyla, przypomnę sobie tylko, jaka ona dobra była dla mamy i zniosę wszystko.

ADAŚ.

Ja sobie łatwo poradzę, przeniosę się ze swoim korepetytorem do oficyny i tyle mnie będziecie widzieli

JADZIA (z udaną żalnością).

A mnie tu zostawisz na pastwę?

ADAŚ.

Prawda, że to nie wypada, trzeba się będzie trzymać w odwodzie na wszelki wypadek.

Scena III.

(Ciż sami, panna Barbara w płaszczyku podróżnym i kapeluszu, w szafirowych okularach, z torebką w rękę. Adaś patrzy na nią, stojąc na środku pokoju).

JADZIA (podbiega zakłopotana).

Ach! przepraszam panią...

PANNA BARBARA (sucho i oziębło).

Za cóż mnie przepraszasz, moja panienko? Jeszcześ mi nic złego nie zrobiła, co tam potem będzie, to zobaczymy, a tymczasem możemy się przywitać po przyjacielisku (podaje jej rękę, którą Jadzia chce pocałować, panna Barbara nagle ją porywa w objęcia, potem, jakby sobie coś przypomniała, odpycha ją lekko i zwraca się do Adasia). A to jest pan Adam, podobno wielki swawolnik, czego ja wcale nie pochwa-

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

lam w młodości (Adaś całuje ją w rękę w milczeniu). Ale cóż to znów takiego? czy nie umiecie mówić? cóż za wychowanie! (wskazuje na Jadzię) Ta wyrwa się z jakąś niedorzecznością, a teraz oboje patrzą na mnie, jak na raroga, trzech słów nie umieją powiedzieć. No, wychowanie, żal się Boże!

(Adaś cofa się i staje przy drzwiach, dając znaki porozumienia Jadzi, a ta chrząka, chce coś mówić, panna Barbara jej przerywa).

PANNA BARBARA (siadając na fotelu).

Nawet mię siedzieć nie prosicie, ładne przyjęcie!

JADZIA.

Ach, przepraszam panią...

PANNA BARBARA (przerywa jej).

Znowu przeprasza! Ta dziewczyna widocznie nic innego mówić nie umie.

(d. c. u.)

Sposób leczenia chorych u Indian.

Dziwny zaiste jest sposób, jakim Indianie leczą swych chorych, a co dziwniejsze jeszcze, że medycyna, jaką posługiwali się oni wówczas, gdy Europejczycy odkryli Amerykę, do obecnych czasów nie postąpiła prawie na drodze rozwoju.

W opisach wyspy San-Domingo znajduje się wiele ciekawych szczegółów z życia i obyczajów dzikich. Jeśli naprzykład kto zachoruje, wezwany lekarz nie przybywa zaraz, gdyż w pierw musi się do tych odwiedzin przygotować, w tym celu wypycha sobie w nos jakiś odurzający proszek roślinny, proszek ten sprowadza silny zawrót głowy i tak odurza lekarza, iż ten może prawie wtedy największe brednie; potem czerni sobie twarz i ręce węglem zmieszany z łojem, w usta kładzie kostkę owiniętą w gałganek, albo też kawałek mięsa, dopiero po tych przygotowaniach udaje się do chorego.

Przybywszy na miejsce, zatrzymuje w pokoju dwie tylko osoby, innym zaś każe się oddalić, następnie bierze kilka roślin, wyciska z nich sok, obchodzi chorego kilka razy dokoła, przykładą usta swe do ciała chorego i niby to wysysa zeń chorobę, potem zaczyna prawie niestworzone rzeczy, a Indianie sądzą, że rozmawia z bogiem domowym Cemis i radzi go się, w jaki sposób leczyć chorego.

Niekiedy lekarz kręci się, krzywi, pluje, jak gdyby coś niesmacznego zjadł, wyjmuje z ust kostkę lub mięso i pokazuje choremu, objaśniając przytém, że musiał zjeść coś niezdrowego; czasami znów mówi, że bóg Cemis karze go za to, iż mu nie złożył ofiary, lub że za mało modlił się do niego. Wyjętą kostkę pozostawia lekarz przy odejściu choremu, a ma ona, podług ich przekonania, cudowne posiadać własności. Jeżeli chory umrze, wtedy rodzina zmarłego żąda, aby się lekarz wytłomaczył, jakimi środkami leczył swego pacjenta, przytém wyciskają sok z rośliny *gucio* i mieszają z proszkiem utartym z włosów i paznogi nieboszczyka, mieszankę taką wypychają w nos lub usta zmarłego i zapytują go, czy lekarz nie przyczynił się do jego śmierci, powtarzają to pytanie, dopóki ktoś nie odpowie im tego, co chcą usłyszeć.

Niekiedy znów kładą umarłego na rozpalonych węglach i nakrywszy go czemskółwiek, zapytują, czy nie z winy lekarza umarł, wtedy ktoś znów odpowiada za nieboszczyka, iż sam nie wie; wszyscy więc odchodzą i powracają dopiero w kilka dni, gdy ciało pali się już na dobre, wtedy to patrzą, jaki jest kierunek dymu, i tak: jeżeli dym idzie prosto do góry, to znaczy, że chory powinien był umrzeć, jeżeli zaś skieruje się ku chacie lekarza, to tłomaczy sobie, iż tenże spowodował śmierć, przeto zasługuje na karę; idą tedy tłumnie do niego, a wyciągnąwszy z domu, biją, kopią, kaleczą, słowem w straszny obchodzą się z nim sposób; jeżeli po tém lekarz przyjdzie jeszcze do siebie, gdy się krewni nieboszczyka o tém dowiedzą, znów starają się pochwycić go, łamią mu wtedy ręce lub nogi, wyłupiają oczy, dopóki na śmierć nie zamęczą. Wszystkie te barbarzyńskie zwyczaje pochodzą z braku oświaty, obecnie misye cywilizacyjne dążą do tego, aby usunąć te starodawne obrzędy, zniszczyć tradycje i zabobony, a natomiast rozszerzać światło wiary i nauki, i natchnąć tym sposobem lepsze i szlachetniejsze pojęcia.

Helena Bojarsku.

— Rzeka ta złota ogromne wrażenie wywarła na dziecięcej mojej wyobraźni, a gdy teraz wspomniłem to przedziwne zdarzenie w mej pamięci, sądziłem zrazu, że Indianie wiały mi tylko bajeczne jakieś podanie. Poszedłem jednak do niego i zacząłem go się rozpytywać dokładniej o wszystko. Minno upewnił mię, że to, co mi niegdyś mówił, nie jest wcale bajką, lecz najczystszą prawdą, że on sam na własne oczy tę rzekę widział i zbierał bryłki złota, które na dno jej jest wyłożone. Pokazał mi wreszcie naszyjnik, złożony z tych bryłek szczerozłotych, w który często się stroił, przyniósł go właśnie z tej dalekiej wędrowki. Chcąc mi dać dowód przychyłności swojej dla mnie i dla pamięci mego ojca, Minno przyrzekł zaprowadzić mię do miejsca, gdzie płynie owa rzeka. Przyjąłem z wdzięcznością propozycję poczciwego Indianina i oto, jak widzisz, ojczu, wybrałem się na wzór starożytnego Jazona po runo złote.

— Przypominam sobie — rzekł misyonarz — że i mnie Minno coś o tém wspominał; ale on podobno zupełnie inną drogą dostał się do tej złotej rzeki, przebył wprzód krainę Teksas, potem Nowy Meksyk. Dla czegoż ciebie inaczej prowadzi?

— Bo go prosilem, aby wybrał drogą najprostszą i najkrótszą, chociażby miała być daleko trudniejszą do przebycia.

— Otóż to właśnie jest może nierozważne postanowienie. Nie powinienbyś, mój synu, zwiększać dobrowolnie i bez potrzeby i tak już dość wielkich niebezpieczeństw tego przedsięwzięcia. Zapuszczając się w głąb krainy nieznannej, narażasz się na spotkanie z dzikimi plemionami krajowców, a wiesz, że oni nie przepuszczają Europejczykom. Czyż będziesz w stanie im się oprzeć z pomocą kilku towarzyszy?

— Nie mogę zważać na niebezpieczeństwa, gdy mi przedewszystkiem o pośpiech idzie. Ta droga jest krótsza o kilkaset mil, a to bardzo wiele znaczy.

— Oby Bóg modłów moich wysłuchał, jedyna to jest pomoc, jaką ci ofiarować mogę — rzekł kapłan, ściskając serdecznie rękę młodzieńca — zasługujesz na to, aby nadzieje twoje się ziściły, gdyż w szlachetnym i pięknym celu powziąłeś ten zamiysł i nie chciwość tobą powoduje. Przez te pięć dni wspólnej naszej podróży poznałem cię gruntownie i szczerze pokochałem. Smutno mi teraz będzie rozstawać się z tobą, zwłaszcza, że nie wiem, czy kiedykolwiek będę miał wiadomość, jak ci się powiedzie; może się nigdy więcej nie spotkamy w życiu.

— A więc stanowczo chcesz się rozstać z nami, ojczu, jak przekroczymy te góry?

— Nie mogę zmienić postanowienia, nie złoto pragnę zdobywać, lecz dusze ludzkie dla prawdziwego Boga, drogi nasze rozejść się muszą.

Noc zapadła tymczasem, ojciec Anzelm i Paweł zbliżyli się do obozu; Tomasz dokładał drewek do ognia, Karol rozmawiał z Indianami. Potém wędrowcy zasiedli do skromnego posiłku i zajadali ze smakiem potrawę z wiewiórek i suchary w wodzie rozmoczone. Powietrze oziębilo się nieco, dwaj Indianie otulili się w swoje koldry i do snu się ułożyli na ziemi, Tomasz i Karol poszli za ich przykładem. Misyonarz z Pawłem długo jeszcze czuwali, rozmawiając półgłosem; i oni wreszcie usnęli. Przekonani, że na tych samotnych wyżynach nie było nigdzie w pobliżu, ani zwierząt drapieżnych, ani dzikich krajowców, nie widzieli wędrowcy nasi potrzeby urządzać straży na noc.

Już od godziny wszyscy we śnie byli pogrążeni, gdy dwa muły spętane i pozostawione o dwadzieścia kroków od ogniska, nastroszyły uszy niespokojnie i lby wyciągnęły w stronę sosnowego lasu, ciemniejszego o paręset metrów dalej. Po chwili postać ludzka wynurzyła się z gęstwiny i zbliżyła się z wolna do obozu, aż w końcu zatrzymała się w miejscu, gdzie

resztki płonącego ogniska rozświetlały ciemności nocne. Gdyby który z wędrowców był się przebudził, rozpoznałby przy tym świetle Indyanina.

Człowiek ten stał przez czas jakiś nieruchomy, potem ostrożnie podszedł bliżej jeszcze do śpiących. Był niedużego wzrostu, miał na sobie obcisłe spodnie z jeleniej skóry, kolorową frenalę oszyte i rodzaj bluzy luznej z tkaniny wełnianej w pasy popielate i czarne, zwykły ubiór krajowców z plemienia Komanszów; długi nóż w ozdobnej pochwie z kory drzewnej zwieszał się od skórzanego jego pasa; strój głowy Indyanina składał się z dziwacznego wieńca koralowego, z którego sterczały do góry małe, żółte piórka, bujne jego włosy posplatane były w liczne, drobne warkoczki. Mógł on mieć około lat piętnastu co najwyżej. Z ust jego rozchylonych wyglądały zęby białe, równe, oczy błyszczące patrzyły trwożliwie dokoła.

Na macie, która wędrowcom naszym służyła za stół i za obrus, pozostały dwa duże suchary. Indyanin pochwycił je zręcznym ruchem i zaczął się w tył cofać, z twarzą zawsze do obozu zwróconą. Miękkie jego obuwie najmniejszego szalestu nie sprawiło i żaden ze śpiących się nie poruszył. Dopiero gdy doszedł do drzew, odwrócił się nagle i znikł w gęstwinie, a muły uspokoiły się po chwili; blaski ogniska dogasały zwolna i żadna już żywa istota nie ukazała się tej nocy na polance.

II.

Spotkanie z niedźwiedziem.

Wędrowcy zerwali się o świcie, przebudziły ich przeraźliwe wrzaski orłów, które latały wysoko w powietrzu, zakreślając kręgi ponad gniazdami swemi, sterczącymi na szczytach skał, a potem chyżo spuszczały się w głąb doliny. Karol zerwał się na równe nogi i wykrzyknął z podziwu. Cała polanka pokryta była białym szronem.

— Ależ to wcale nie ciekawy widok — mówił Paryżanin, dzwoniąc zębami — taki sam szron widziałem przecież i w swojej ojczyźnie, nie potrzebowałem po to jechać aż do ciepłych krajów. Jeżeli tak dłużej potrwa, to my tu chyba zamrzniemy. A jednak, czy mi się śniło, czy na prawdę mówił nam wczoraj pan Paweł, że znajdujemy się obecnie na tej samej szerokości geograficznej, pod którą leży Alger.

— Wcale ci się to nie śniło, Karolu.

— A toż chyba kula ziemską przez noc na odwrót się przekręciła.

— Wszakże ci już tłumaczyłem, że w Ameryce pod tą samą szerokością geograficzną klimat jest wszędzie zimniejszy, aniżeli w starym świecie. A nie zapominaj także, że to miejsce, na którym w tej chwili stoimy, wzniesione jest na 1500 metrów ponad poziomem morza; nie też dziwnego, że zimniej tu jest znacznie, niż u stóp tych wyżyn.

— To niby ma znaczyć, że w miarę, jak my się wznosimy, temperatura spada. Szczególniejszy koncept! Nie może mi się jednak w głowie pomieścić, dla czego nam tu tak zimno, jeżeli znajdujemy się o 1500 metrów wyżej od bliźnich lasy, zamieszkałych w dolinach, a tym samym o tyleż metrów bliżej słońca?

— A jednak rzecz to bardzo prosta; tu powietrze rozrzedzone mniej ciepła pochłania. Ale bierzmy się do śniadania, a potem w drogę, bo nicma czasu do stracenia.

Tomasz, już zupełnie ubrany, ze strzelbą nawet przewieszoną przez ramię, zajęty był przyrządzaniem herbaty. Ojciec Anzelm związał znów w wałek poły swojej sutanny, gdyż inaczej podarłaby się na strzepy na krzakach, przez które wędrowcy przedzierać się musieli. Dwaj Indyanie, należący do orszaku Pawła, nie zważali na chłód poranny, zdjeli nawet koldry, zastępujące płaszcze krajowcom amerykańskim na wólczywilizowanym i starannie ładowali na muły paki podróżne, zawierające zapasy żywności, różne narzędzia i odzież na zmianę.

Stary Minno był wysokiego wzrostu, twarz miał ściągłą, duży nos orli, czarne oczy, należał on do plemienia Osagów, które niegdyś zamieszkiwało bardzo licznie wybrzeża Arkansasu. Dziwaczne rysunki pokrywały obnażone jego plecy, piersi

i ramiona, a na łbie wygolonym powiewał u góry długi kosmyk włosów, zwany skalpem i pozostawiony umyślnie, jako znak odwagi i wyzwania*). Miał wyraz twarzy poważny i niezmiernie spokojny, wzrok prawie nieruchomy, postawę okazałą, posagową. Strój jego składał się z obcisłych spodni skórzanych i takiegoż szerokiego pasa, za którym była zatknięta siekierka, nóż w pochwie i fajka z cybuszkiem. Naszy miał wspaniały naszyjnik, złożony z trzech sznurów bryłek złotych, które przyniósł niegdyś z owej sławnej wycieczki do rzeki złotych. Naszyjnik ten podtrzymywał dużą muszlę, znak symboliczny plemienia Osagów, gdyż według starożytnego podania, Wielki Duch wydobył z muszli protoplastę ich rodu. Minno miał uszy u brzegów pozbite i pokłute ozdobione błyszczącymi kółkami i paciorkami.

Towarzysz jego, znacznie niższego wzrostu, miał typ fizjognomii całkiem odmienny, twarz bardziej okrągłą, nos krótki, policzki wystające, czoło niskie, ocienione czarnymi, nastrzępionymi włosami. Należał do plemienia Kriksów, zamieszkujących dawniej na pograniczu Luizyany, a następnie wypartych przez cywilizację na północ, do krainy Osagów. Wampa, tak się zwał drugi Indyanin, ubrany był prawie tak samo, jak Minno, ale nie miał malowideł na ciele, ani uszy wycinanych i podziurawionych. Świeżo nawrócony na religię chrześcijańską, wielkie poszanowanie okazywał dla ojca Anzelmna, nie dochodząc jednak nigdy do uniżoności, gdyż krajowcy Ameryki północnej, niepodobni w tym do swych braci z południa, nadzwyczaj są dumni.

Wampa, tak samo, jak i Minno, dość płynnie mówił po francuzku. Obaj w najpoufalszych byli stosunkach z Tomaszem, który sposobem życia i obyczajami najwięcej się do nich zbliżał. Karol zadziwił ich swoją gadatliwością i ustawicznym śmiechem, Indyanie, a nawet i Europejczycy, zamieszkujący bezludne puszcze, nawykli są do milczenia i nieustannego zagłębiania się w myślach własnych, najczęściej bowiem pędzą życie samotne. Minno i Wampa jednoznacznie przezwali Karola na swój sposób „Językiem ruchliwym”.

Tomasz podał towarzyszom herbatę, obejrzał się potem za sucharami, które porwał tajemnicze zjawisko nocne, suchary te przygotował on umyślnie z wieczora na śniadanie. Nie znalazłszy ich jednak, spojrzawszy podejrzliwie na Wampę, który zrozumiał to nieme zapytanie, nie raczył jednak na nie odpowiedzieć i odwrócił się pogardliwie. Po skromnym posiłku gromadka wędrowców, na znak Pawła, puściła się w drogę. Młody wódz z misjonarzem ruszyli naprzód, za nimi szli Tomasz z Karolem, na nich tym razem przypadła kolej prowadzenia mułów. Minno i Wampa, udrapowani w swoje koldry, ze strzelbami przez ramię przewieszonymi, zamykali pochód i stanowili straż tylną małej karawany.

Szron zniknął już zupełnie pod wpływem promieni słonecznych, gdy wędrowcy nasi weszli znowu w gęstwinę lasu i postępowali po śliskim gruncie, usypanym sosnowymi igłami. I ludziom i mułom co chwila groziło poślizgnięcie i ustrata równowagi. Karol nieustannie gawędził, śmiał się i narzekał.

(d. c. n.)

Rozwiązanie zagadki historyczno-geograficznej

z N-ru 41 „Wieczorów Rodziny”,

nadesłane przez 12 letniego Wróbla z nad Karajca, który otrzymał książkę pod tyt: „Pamiętnik sieroty” Pauliny Krakowowej.

Gniczo jestto gród niezmiernie starożytny. Nazwa jego przypomina najdawniejsze podanie z dziejów polskich, a gdy Lech przywędrował z Krocacy nad brzegi Warty, znalazł tu na pobliskich, wyniosłych i olbrzymiego wzrostu drzewach, liczne gniazda orle. Nazwał więc gród, który

*) Dzicy Amerykanie w bitwie chwytają przeciwnika za ten kosmyk i nożem obcinają mu skórę naokoło głowy, nazywając to skalpowaniem. Zdjęte z czaszki skalpy stanowią zdobycz wojenną.

zbudował „Gniezmem” to jest „gniazdem”, uczynił go pierwotną stolicą Polski, a orła białego z rozpiętymi skrzydłami za herb swój przybrał i na chorągwiach swego rycerstwa kłaść kazał.

W Gnieźnie to, 5-go Marca 966 r. Mieczysław I, z namowy żony swój Dąbrowki, księżniczki czeskiej, chrzest przyjął, wśród wspaniałego obrzędu. Tam też na górze Lecha, gdzie stała świątynia pogańskiej Nii, wznosił kościół Wniebowzięcia P. Maryi, sławną w całym kraju katedrę gnieźnieńską.

Katedra również wspaniała jest z wierzchu, jak wewnątrz. Cały gmach ten ogromny pokryty jest miedzią. Wchodzi się przez pyszne spiżowe podwoje, w Kijowie przez Bolesława Chrobrego zdobyte: są one gładko ulane, z wypukłą rzeźbą. Kościół po obu stronach liczne ma kaplice, po większej części z grobami arcybiskupów. Cztery ogromne pozłacane słupy z nakryciem wznoszą się nad ołtarzem i nad trumną srebrną, zawierającą zwłoki Św. Wojciecha. Głowa zaś świętego męczennika ma osobny relikwiarz złoty, ozdobiony dwudziestu kilku szaframi, po większej części tak wielkimi, jak jaja kurze. Zwłoki Dąbrowki, żony Mieczysława I-go, spoczywają także w katedrze gnieźnieńskiej.

Odwiedziny Ottona III, cesarza niemieckiego, który gościł trzy dni w Gnieźnie, ważne znaczenie miały w dziejach. Otton III chciał nawiedzić zwłoki Św. Wojciecha, a Bolesław Chrobry przyjął go z wielką wspaniałością.

Przez trzy dni zastawiano stoły złotymi i srebrnymi naczykami, a te Bolesław każdego dnia po uczcie do skarbcza cesarskiego odnieść rozkazał. Działo się to w r. 1000-ym po lat. Chr. P. I od tego to roku Gniezno stało się *metropolią* Polski, to jest miastem, gdzie mieszka arcybiskup-prymas, zwierzchnik innych biskupów, katedra gnieźnieńska stała się jakoby matką wszystkich polskich kościołów.

Otton III, będąc w Gnieźnie, sam koronę swoją cesarską włożył na głowę Bolesława Chrobrego, ale następcy jego Bolesława królem uznawać nie chcieli, więc Chrobry wysłał tajemnie posłów do Papieża, i koronę, którą mu z Rzymu przywieźli, ukoronowanym został przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, w asystencji wszystkich biskupów swojego państwa.

W owym czasie Gniezno musiało być możnym miastem, gdyż wysyłało 9,500 wojowników. Bogactwa katedry gnieźnieńskiej wzbudziły chciwość Czechów, i w r. 1038, w czasie bezkrólewia po Mieczysławie Gnuśnym, wpadli do Gniezna, ścigali miasto i świątynię. Chcieli też zabrać ciało ziomka swego Św. Wojciecha, ale oszukano ich i zamiast ciała Św. Wojciecha wzięli ciało brata jego, błogosławionego Gaudentego. Zabrali wtedy Czesi krzyż szczerozłoty, który Bolesław Chrobry darował katedrze w upominku, odważywszy go trzykroć osobą swoją. Wzięli trzy tablice złote, drogiemi kamieniami wysadzone, dar tegoż króla, z których jedna 300 funtów ważyła. Zabrali nawet dzwony katedry, i stało się Gniezno obrazem spustoszenia; gdy tymczasem Brzytysław, książę czeski, wlokąc za sobą sto wozów karbami ładowanych, z tryumfem do Pragi powrócił.

Jednak Kazimierz Odnowiciel koronował się jeszcze w Gnieźnie. Późniejszy królowie już w Krakowie się koronowali. W pierwszej połowie XIV wieku zrabowali Gniezno Krzyżacy i odtąd już nigdy podźwignąć się nie zdołało. W r. 1709, Szwedzi wnieśli do Gniezna morową zarazę, a w 50 lat później straszny pożar zniszczył większą część miasta.

Dzisiaj Gniezno jest miastem powiatowem i odzwierciedla się jak i dawniej w jeziorze Jelonek i 2-ch innych jeziorach, a leży na siedmiu pagórkach. Miasto opuszczone i nędzne, znaczenie jego stanowią jedynie wspomnienia i piękne świątynie. Między innymi, kościół Św. Jerzego jest dawną świą-

tynią pogańską, w której Mieczysław I czcił fałszywe bo, później w jeziorze utopione.

(Oprócz tego bardzo dobre rozwiązania nadesłali: 14-letnia Jaskółka z nad Wisły — 14 letnia Łątka — 14 letni Jutrzenka z nad Dniepru — 13 letnia Konwalia — 13 letnia Świtezianka — 12 letnia Mrówka z Welezina — 11 letnia Najada z nad Słuczy — 9 letnia Topolka z nad Kodemy — i bez pseudonimów Zosia A. z Lesznowoli — Emilia P. z I pna — Antoni K. z Warszawy.

SZARADA (Chmurka).

Gdy ci zabawki ktoś *pierwsze-trzecie*,
Zaraz ci *wszystko* na myśli, dziecię.
Lecz gdy *pierwszego* nie ma już zgoła,
Zaraz ci wraca minka wesoła,
I jak stróż anioł, moje kochanie,
Wnet *drugie-trzecie* przy tobie stanie.
Ale po *czyimś drugim i pierwszym*,
Zapłaczesz znowu żalem najszczerzym.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Maryni L. z Chomiczek dla Jadzi L. w Kopciewieczach).

Z następujących zgłosek: by—co—chód—cki—don—dye—er—er—in—inn—ka—ko—le—na—na—nest—no—ni—niec—o—pój—raz—ro—ra—robr—śni—tém—wierz—yuk—za—za—ża— ułożyć wyrazy: 1. Drzewa. 2. Rzeka w Austrii. 3. Opera włoska. 4. Przysłówek. 5. Strona świata. 6. Część twarzy. 7. Wyraz używany przy grze w karty. 8. Roślina zamorska. 9. Rodzaj modlitwy. 10. Obrońca Jagielly. 11. Rzeka w Rosyi. 12. Spójnik. 13. Kraj w Azji. 14. Ciecz. 15. Kryjówka. 16. Imię męskie. Pierwsze litery, od góry do dołu, utworzą tytuł Pisma, ostatnie, od dołu do góry, tytuł powieści w niem drukowanej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Szarady:

E — me — ryk.

Zagadki:

Żóraw.

Łamigłówki w kwadraciku:

S	T	O	S
T	O	R	T
O	R	D	A
S	T	A	S

PREŚĆ: Rodzina rybacka wiersz (z drzeworytem). — Królewicz tułacz, powieść przez M—a.. — Panna Barbara komedyjka — Sposób leczenia chorych u Indyan p. H. Bojarską. — Wyprawa po złote runo, przygody podróżników. — W Dodatku: Lilia powiastka (z drzeworytem). — Gdzie najlepiej wierszyk (z drzeworytem). — Jak się komu spodoba, powiastka. — Anielka, wierszyk p. H. Bojarską. — Co o tém myśleć? powiastka. — Nauczyciel w kłopotach. — Dodatek książkowy: Prześladowanie, powieść z angielskiego przeładowana.

Franio i Aneczka, będąc na wsi, mieli za najulubieńszą zabawę kołysać się w dużej łodzi na stawie, przywiązanej do drzewa. Śliczne wodne kwiaty chwiały się tu i owdzie naokoło łodzi, Franio, wychylając się, zrywał je i podawał Aneczce, a ona układała prześliczne bukiety. Była to bardzo przyjemna zabawka, ale i niebezpieczna bardzo, bo staw był głęboki, Franio wychylał się mocno, i łódź przechylała się i kołysała silnie. Z dziećmi temi nie było na wsi rodziców, tylko służba i bona niemłoda, bardzo uczciwa i staranna, ale mimo to niezbyt przez swawolne dzieci poważana. Dobra ta kobieta truchlała, patrząc na zabawkę w łodzi, prosiła, aby jej zaprzestano, a przynajmniej chciała także z dziećmi wsiadać, ale dzieci wołały bawić się same, i umyślnie przez figle, jak tylko mogły wymknąć się bonie, już swawoliły na stawie, żartując z niej jeszcze, że drepce na brzegu, patrząc na nie, jak kura, która wychowała kurczęta. Aż razu jednego bona, tak patrząc na nie, zawołała :



Lilia.

— O! swawolniki niedobre, jeśli nie dbacie o własne życie, pomyślcie przynajmniej, jakby to wasi rodzice gorzkie łzy wylewali, stojąc nad tą wodą, gdybyście wy w niej utonęli.

Na te słowa stariej bony, Aneczka zadrżała jakoś, i przestawszy bukiety układać, wpatrzyła się w piękną lilię wodną, chwiejącą się tuż przy łódce. Franio, zdziwiony nieruchomym przypatrywaniem się dziewczynki, chciał zerwać lilię i podać ją siostrze, ale ta zawołała :

— Nie zrywaj jej, bracie! Czy wiesz, co mi się zdawało w tej chwili? Oto, że ta piękna lilia, to jest łza Mamy lub Tatki, wypłakana za nami, gdybyśmy w tę wodę wpadli, i przemieniona w kwiatek!...

Franio spojrział na Aneczkę zdziwiony, potem przypatrzył się pięknej lili, pomyślał i rzekł:

— Wiesz co, Aneczko, to my już lepiej słuchajmy bony i nie swawolmy na łodzi, aby rodzice nie płakali... — i wysiadły dzieci na ląd zadumane, i ku wielkiej uciesze bony nie bujały się więcej nigdy na stawie.

Azet.

GDZIE NAJLEPIEJ.

Księżycową nocą, tam, gdzie palmy rosną,
A zielone błonia wieczną kwitną wiosną,
Płakał pielgrzym, tęskniąc za zimą i śniegiem,
Które pozostawił nad wiślanym brzegiem:
Nie w rozkoszach tylko, lecz choć w poniewierce
Tem najlepiej, gdzie nas tęskne ciągnie serce.

M.

Były to trzy siostrzyczki, Fruzia, Rózia i Zuzia, bardzo grzeczne panienki, a że miały imiona podobne, więc czy rodzice, czy Ciocia, czy nauczycielka zawołała którą po imieniu, to one zawsze wszystkie trzy biegły na wyścigi, nie wiedząc dobrze, którą wołano. Ale inna panienka, Antolka, śmiała się z nich i mówiła:

— Jakież wy dziecinne jesteście, ja na waszemu miejscu nigdybym właśnie nie biegła na niczyje wołanie, bo myślałabym, że nie ja jestem wołaną.

A na to odpowie Antolce najstarsza z trzech siostrzyczek, Fruzia:

— Robiłabyś, jakby ci się spodobało, moja Antolko, a nam pooba się właśnie być zawsze na usługi Rodziców, i Cioci, i nauczycielki.

M. Krz.



Gdzie najlepiej.

ANIELKA.

— Szczęśliwa nauczycielka!

Mówiła mała Anielka

— Tylko sobie przy mnie siedzi

I nad lekcją się nie biedzi:

Słucha, słucha, czasem pyta,

Lub co powie, ot i kwita!

A ja, mój ty dobry Boże!

Z książką siedzę w każdej porze,

Nad nauką ciągle ślęczę,

Tylko sobie głowę męcę,

Nie spamiętam, słowo daję,

Jakie tam są w świecie kraje,

Albo jakie żyją ludy,

To doprawdy tylko trudy

Niepotrzebne, co mi z tego,

Że król jakiś wroga swego

Pobił, lub wziął do niewoli,

Czy mnie o to serce boli?

Czyliż racyi nie mam, Tato?

— Nie, Ojczulek rzecze na to,

Trzeba wiedzieć, moje dziecię,

Wszystko, co się dzieje w świecie,

Warto poznać różne kraje,

Ludy i ich obyczaje,

Różne grody starodawne,

Naszyc przodków czyny sławne,

Wynalazki i odkrycia...

— A czy mi to doda życia?
 — Tego nie da, lecz ci mile
 Uprzejmni życia chwile;
 Wszystko zajmie cię, kochanie,
 I na złe czasu nie stanie.
 Dziś chce każdy, moja miła,
 By nauka się szerzyła:
 Gdy ciemnota zniknie wszędzie,
 To na świecie lepiej będzie!

Helena Bojarska.

Co o tém myśleć?

Micio i Wicus biegali po podwórzu, przeskakując zgrabnie przeszkody, wtém Wicus ze swawoli podstawił nogę Miciowi i Micio upadł, ale że to nie był żaden mazgaj, więc podniósł się żwawo i biegł dalej, jakby nigdy nic. Wtém, gdy biegł Wicus, służąca, przechodząc z drzewem, upuściła jedno polano, a Micio zawołał:

— Stój, Wicus! niech najprzód podniosę polano, bo nie wiedząc, że ono tam leży, mógłbyś się o nie potknąć i upaść. I gdy Wicus się wstrzymał, Micio zrobił, jak mówił.

Co też wypada pomyśleć o tych dwóch chłopcykach?

NAUCZYCIEL W KŁOPOTACH.

CZYLI

PIĘCDZIESIĄT DNI WAKACYJ,

napisał Michał Krzemień.

(Dalszy ciąg).

— Jakież szczęśliwe te dzieci, że mają się z kim żegnać... ja już nie mam Ojca... — powiedział Wacio półgłosem do starego Jędrzeja, patrząc na dziatwę ze łzą także w oczach.

— Nie masz pan? ach, jakż pan jesteś biedny! — zawołał Stefcio, a inni aż ręce załamali i płakać przestali nad sobą, przez współczucie dla Wacia. Stary Jędrzej ręką machnął.

— Tak — rzecze — kto nie ma, to tęskni, a inny zdarzy się, że ma Ojca i Matkę, i cenić tego szczęścia nie umie, jeszcze nieraz im nieposłuszeństwem i swawolą przyczyni ciężkiego zmartwienia.

— Ale bo czasem człowiek sam nie spostrzeże się, że źle coś zrobi, i rodziców zmartwi! — rzekł najmłodszy Leonek.

— No, ale jak kto człowieka ostrzeże o tém? to już powinien posłuchać chyba? — powie Wacio.

— E, a któżby wtedy nie usłuchał! — zawołał Stefcio.

— A jednak nieraz już pewno ostrzegano cię, Stefanku, abys nie wychylał się żadném oknem, a szczególnie z wagonu, a przecież... — Wacio, który mówił te słowa, ujmując przytém za paltot Stefanka, nie dokończył mówić, bo ten zawstydzony odskoczył gwałtownie od drzwiczek, z których otwartém oknem chciał wyjrzeć:

— Ach, bo ja się zapomniałem, i chciałem Ojca jeszcze zobaczyć!... usprawiedliwił się zarumieniony ze wstydu chłopczyk.

— Nie tylko Ojca — rzecze Wacio — ale nawet Warszawy wcalebyś już w tój chwili nie zobaczył z okna, bo wagony szybko jadą i Warszawa daleko już została za nami. Ale przekonaj się przy tój sposobności, jak to kto chce być posłusznym, musi być też koniecznie i uważnym, bo gdy człowiek co chwila się zapomina, to i ostrzeżenia na nic się nie zdadzą.

— Ach, kiedy to tak trudno ciągle na wszystko uważać! — westchnął Oleś.

— To nawet jest niepodobieństwo! — potwierdził Leonek.

— Niepodobieństwo? — powtórzył Wacio. — A jednak widziałem i słyszałem, jak w domu waszym ciągle mówiliście

i biegali po cichu, jak koty, dla czegoż to pamiętaliście o tém i nie hałasowali ani na chwilę?

— To pan chyba nie wie, że my mamy starszą siostrzyczkę bardzo chorą, z którą właśnie rodzice jadą do wód; ona płacze z bólu głowy za każdym hałasem, dla tego sprawiamy się cicho, gdy jesteśmy blisko biednej siostrzyczki! — objaśnili chłopcy, a Wacio powiedział na to z uśmiechem:

— A więc macie dowód na sobie, że łatwem jest to, co niepodobnem nazywacie, bo jeżeli możecie wstrzymać się ciągle od hałasowania, przez wzgląd na siostrzyczkę, to potrafcie wy i w innych rzeczach trzymać się krótko i ostro przez wzgląd na rodziców i na tę samą siostrzyczkę, aby im nie przyczyniać zmartwienia.

Gdy Wacio tak mówił, chłopcyki zaczęli się krzywić i myśleli sobie pocichutku:

— O, jakiż ten pan Łucki nudny jest, chociaż młody jeżeli on tak będzie ciągle morały prawić, to trudno z nim będzie wytrzymać!

I tak myśląc, zaczęli ziewać i usnęli, ponieważ powstać wali bardzo rano! Wacio odetchnął, ale nie na długo, bo pomyślał, że trzeba będzie uważać na stacye, aby nie zająchać gdzie daleko, gdy ma się wysiąść w pobliżu. Stary Jędrzej spał także, Wacio biedaczek musiał więc czuwać nad wszystkimi. Drzemał troszeczkę, bo był znużony bardzo, ale nie zasnął na dobre ani na chwilę i ciągle wiedział, gdzie się znajdowano.

Nareszcie konduktor zawołał, że przyjechano do Skierniewic, Wacio zbudził Jędrzeja i chłopczyków, obawiając się czy nie będzie przytém jakiego płaczu i mazaniny z najmłodszym, ale tego przecież nie było. Wszyscy wysiedli i Wacio już się cieszyć zaczynał, że nie tak trudno będzie z chłopcami, jak się lękał wprzódy, gdy w tém wszyscy trzej skoczyli każdy w inną stronę, wołając pana Łuckiego każdy do siebie, aby coś tam pokazać: park, teatr, pałac, bo znał Skierniewice doskale, a Wacio nie wiedział, gdzie biedz i kogo naprzód chwycić, bo wagony już, już, miały się poruszać i lokomotywa świsłała. Waciowi włosy powstały na głowie ze strachu o dzieci. Skoczywszy, zdołał przecież schwycić dwóch za ręce, a trzeciego ledwo jednym palcem za rzynek od podróznój torebki zahaczywszy, pociągnął ich tak razem na bok, gdy znów mu się ten z rzyneka wyrwał, biegnąc do jakiegoś znajomego. Szczęściem Jędrzej wrócił już z rzeczami ze dworca i na wołanie Wacia schwytał malca i przyprowadził.

— O! moje dzieci, jeżeli wy tak robić umiecie, to ja unieję ze strachu o was! czy nie rozumiecie, że wagony byłyby was zgnioty na śmierć? — rzekł biedny nauczyciel.

— Co to panu? czy chory? — zapytał Stefcio, spojrzawszy na Wacia — pan tak wygląda, jak nasza siostrzyczka!

— Bo przeląknęłam się o was, i na prawdę rozchorować się mogę z przelęknienia.

— No! tylko pan nie choruj! — zawołałi wszyscy trzej razem, wyciągając ręce do niego. On usiadł na ławce, wziął ich wszystkich trzech mocno za paltoty i dopiero zażądał od nich słowa, że gdy się znajdują w tłumie ludzi, lub przy kolei żelaznej, lub w pobliżu rzeki, wtedy ani na krok jeden nie odstąpią od niego. Mówił im przytém o zmartwieniu rodziców i chorój siostry, gdyby im się przytrafił jaki wypadek, i przecież pomiarkowali się chłopcy i zawstydzili za nieposłuszeństwo, bo tysiące razy już powiadano im to, co teraz Wacio mówił. Podobno żał im się zrobiło trochę i Wacia, widząc jego przerażenie prawdziwe.

— No, pan i tak biedaczek jesteś, że ojca ani matki nie masz, a my jeszcze kłopotu panu przyczyniamy! — rzekł Stefek, bardzo z siebie niezadowolony, i wszyscy trzej przeprosili nauczyciela i przyrzekli święcie, co żądał. Jędrzej tymczasem poszedł dowiedzieć się o konie w zwykłym miejscu, gdzie stawała za każdym państwem Małeckich przyjazdem.

— Przejeżdżacie często przez Skierniewice i znacie je daleko lepiej niż ja, a czy też wiecie o nich cokolwiek więcej oprócz tego, co widzicie? — zapytał Wacio, chcąc zająć chłopców tymczasem; jak się okazało, nic nie wiedzieli, wtedy opowiedział im, że Skierniewice oddalone są od Warszawy o mil dziesięć, że była to dawniej wieś, i należała do ar-

cybisków gnieźnieńskich. Dopiero w XV wieku Skierniewice zostały miastem, i arcybiskupi w nich mieszkali i upiękшали je, a tak tu było świetnie, ludno i wspaniale, że Skierniewice wtedy stały się nieledwie jakby drugą Warszawą. Ostatni arcybiskup, który tu mieszkał i dzieła swoje pisał, był to Ignacy Krasicki.

Gdy tak Wacio dzieciom o Skierniewicach opowiadał, nadeszedł Jędrzej, dając znać, że konie czekają. Ponieważ już się w sali jadalnej uspokoiło i tłum się rozszedł, którego obawiał się Wacio dla dzieci, aby nie poginęli, więc zjedli teraz chłopcy z nauczycielem śniadanie, a potem siadłszy na bryczkę, pojechali do swój wioski.

Dzień 1.
Saturnalie.

— Po kilkugodzinnej jeździe w piękną pogodę, wśród pól zielonych lub zbożem pokrytych, chłopcy zaczęli klaskać w ręce i skakać, wołając, że są już na swoim gruncie.

— A więc wysiadzmy lepiej i idźmy dalej pieszo, bo inaczej wypadacie mi z bryczki przy takiem skakaniu, — rzekł Wacio i kazał stanąć, i wszyscy wysiedli.

— Bardzo dobrze, nie pójdziemy drogą, tylko przez ogród i zobaczymy najpierw łabędziowy domek, który ojciec kazał zbudować, a myśmy go jeszcze nie widzieli! — wołali chłopcy. Jakoż przeszedszy bardzo mały lasek, czyli park, weszli wszyscy do ogrodu dużego i na sporej łączce, niedaleko stawu, ujrzeli ładny nowy domek, tylko co ukończony dla łabędzi, których tam wcale jeszcze nie było:

— Ależ to śliczny domek! prawdziwy pałac malutki! — krzyknęli chłopcy i jeden za drugim powbiegali do owęj małej chatki łabędziowej. Jędrzej, przyzwyczajony chodzić za malcami, jak niańka, chciał wejść także do chaty, ale żadnym sposobem nie mógł się zmieścić w drzwiczki. Wacio zastanowił się chwilę, bo nie wypadało to jakoś, aby nauczyciel laził po łabędzich chatkach, a wtém dał się słyszeć straszny krzyk z głębi chatki; więc Wacio przełknięty bez namysłu wbiegł do dzieci. Myślał, że się co złego stało, że może tam był łabędź, albo jakie zwierzę i ukąsiło dzieci. ale wpadłszy uspokoił się od razu, bo chłopcy krzyczeli tak tylko z wielkiej uciechy, tańcząc jeden kaczucze, drugi polkę węgierską, a trzeci mazurka solo, co wszystko widzieli, jak tańczyła siostrzyczka, gby była zdrową. Oczywiście tańcząc takie trzy tańce na raz w maluteńkim domeczku, chłopcy potrącali się ciągle, i rękami, i nogami, i głowami, bo nie było gdzie się ruszyć, i to im się właśnie tak podobało, że aż krzyczeli z radości. Ale gdy Wacia ujrzeli, radość ich granic już nie miała: skoczyli mu na szyję, krzycząc wszyscy razem a każdy co innego.

— Pan Łucki! Kiedy pan tu się zmieści, to zamieszkamy tutaj.

— Będziemy tu jeść sobie gotować, naznosimy mchu na posłanie, będziemy Robinsonami!

— Panie Łucki! jeżeli nas pan kochasz! jeżeli nam pan dobrze życzysz! jeżeli pan chcesz, żebyśmy zdrowi byli, mieszkajmy tu we czterech, a Jędrzej się nie zmieści!

W małej chatce stał się taki wielki krzyk, że biedny duży i gruby Jędrzej przestraszony, chcąc gwałtem wejść, aż uwiązał w drzwiczkach i z tego nowy krzyk powstał, bo Jędrzej krzyczał pytając: co się tam stało? młodzi chłopcy zanęśli się od śmiechu, że Jędrzej uwiązał, a najroztropniejszy Stęfcio krzyczał, żeby Jędrzej się nie pchał, bo chatkę rozsadzi. Wacio w tym hałasie i w ciasnocie już milczał, na migi dając do zrozumienia Jędrzejowi, że nic się złego nie stało.

Stary sługa zrozumiałwszy to, chciał się cofnąć, ale uwiązał naprawdę i nie mógł się ruszyć ani w tył, ani naprzód. Wacio zaczął mu pomagać do wyjścia, pokazując jaką postawę przybrać, aby zręcznością dokazać tego, czego gwałtem nie można. Ujrzawszy to chłopcy, nagle przestali śmiać się, któryś szepnął, że Jędrzej się dusi w ciasnych drzwiczkach i naraż wszyscy trzej wybuchnęli straszny płaczem, bo kochali bardzo starego Jędrzeja. Płacząc rzucili się na szyję Jędrzejowi i Waciowi, przez co oczywiście im przeszkadzali, aż

gdy przecież udało się wyjść Jędrzejowi, wtedy odetchnęli wszyscy, wyszedłszy za nim.

Wacio uspokoił dzieci, pewiadając, że niebezpieczeństwa prawdziwego dla Jędrzeja nie było, gdyż domek łabędzi nie jest tak znów mocno zbudowany, aby nie można było kawałka deski we drzwiach wylamać i przez to Jędrzeja uwolnić. Powiedział Wacio, że dzieci bardzo źle zrobiły, tracąc przytomność ze strachu o Jędrzeja i przeszkadzając tém samém go ratować; taki przestach, wrazie prawdziwego niebezpieczeństwa, mógłby je tylko pogorszyć. W najgroźniejszym niebezpieczeństwie przytomność umysłu i spokój więcej pomódz mogą, niż płacz i szarpanie się próżne.

— No, więc niechże Jędrzej będzie grzeczny i więcej do naszej chatki nie wchodzi, już my sobie sami usłużyć potrafimy przez całe lato! — rzecze Oleś, wysłuchawszy uważnie nauk Wacia.

Wacio aż się zląkł, usłyszawszy te słowa, bo wprzódy myślał, że już przecież skończyła się awantura z łabędzim domkiem, aż tu pokazało się, że dzieci wcale nie miały zamiaru od swego pomysłu odstąpić, i wszyscy trzej zaczęli gorąco prosić, aby w chatce zamieszkać.

Wacio z początku przedstawiał im, iż byłoby to dzieciństwo i nedorzecznosc, a nawet byłoby w tém i niebezpieczeństwa trochę dla zdrowia, bo domek dla ptaków nie jest tak przecież zbudowany, jak dla ludzi, ale gdy prośby nie ustawały, miał już Wacio po raz pierwszy powagi swęj użyć i po prostu rozkazać dzieciom, aby szły do dworu, gdy stary Jędrzej wdał się w sprawę, zaczął prosić za dziećmi, utrzymując, że chłopcy są zahartowani, i że ojciec sam był dawniej taki swawolnik, jak i oni, i niezwykły jest wzbraniać im wielu rzeczy. Usłyszawszy, że Jędrzej za nimi prosi, zaraz chłopcy nabrali odwagi i nuż rozpowiadać wszyscy trzej na wysięgi:

— Ale bo pan Łucki nas nie zna i dla tego myśli, że my jesteśmy mazgaje, którym trzeba wszystkiego bronić, ponieważ wszystko im szkodzi, a my wcale nie tacy!

— Nasz Dziadzio był żołnierzem! Tatko był, choć krótko!

— My umiemy na koniu jeździć, pływać, gimnastykować się i tańczyć!

— My z Ojcem nieraz w stogach sypiamy! i w lesie!

— My na najwyższe drzewa włączymy w obec Ojca!

— My strzelać zaraz będziemy się uczyć, jak tylko podrośniemy!

(d. c. n.)

Skrzynka do listów.

Strzale w Warszawie. Z wielką przyjemnością zaliczamy kochaną Strzałę od dnia dzisiejszego do stałych naszych korespondentek, prosząc tylko, jeśli zechce odpowiadać na zadania nasze konkursowe, aby donosiła dla wiadomości redakcyi, jak się nazywa i ile ma lat. W dodatku dla starszych czytelników będą drukowane powieści przeważnie z angielskiego tłómaczone lub naśladowane, w rodzaju dawniej zamieszczanych w naszym Piśmie. Prosimy bardzo o wiadomość, czy drukująca się obecnie powiastka „Prześlawianie” podoba się kochanej Strzale tak samo, jak „Księżniczka Katarzyna”.

Konikowi Polnemu. Zaginione N-ra Wieczorów łatwo bardzo dostać w biurze naszej redakcyi, Mazowiecka N-r 8, ale trzeba się z tém pośpieszyć, bo później, gdy kompleta całoroczne zostaną zbroszurowane, może zabraknąć numerów pojedynczych. Konik polny musi mieć siostry, skoro powieść „Reginka” tak go zajęła i pewnie jest bardzo dobrym bratem. Czy odgadliśmy trafnie? Nasze łamigłówki dobrze odgadnięte.

Witoldowi Ł. Układanie łamigłówek byłoby zanadto łatwe, gdyby można było zastępować niektóre wyrazy oderwanemi literami, jak np. YE. Trzeba sobie troszkę główkę połąmac i wyraz stosowny obmyśleć, bo my podobnych łamigłówek nie drukujemy, mamy bowiem dużo innych, według prawideł ułożonych. Zadanie konikowe jest dobre i będzie zamieszczone.

Słowikowi. Nadesłane 35 kop. rozdzieliliśmy pomiędzy dwie

ubogie wdowy i serdecznie w ich imieniu dziękujemy. Łamigłówka jest dobra i będzie drukowana. Słusznie bardzo pisze kochany Słowiczek, że we Święta chłopcy i dziewczynki wolą się bawić, niż łamigłówki układać i dobrze robią, bo ruch i wesola zabawa niezbędnie potrzebne dla zdrowia.

Świteziance. Za opłatek i tak serdeczne życzenia dziękujemy bardzo; najmilsze są dla nas liściki, nie wyszukanymi wyrazami pisane, bo to, „co serce dyktuje” najłatwiej do serca trafia. Żądania N-r Pisma odesłany powtórnie, ile razy zaginie na poczcie, trzeba się śpiesznie upomnieć. Radzibyśmy we wszystkim kochanej Świteziance dogodzić, ale my pocztą nie rozporządzamy i żadnym sposobem nie możemy kierować wysyłaniem „Wieczorów” tak, aby nie przybywały do Horochowa w poniedziałek, jeżeli poczta w tym dniu je tam dostawia. Autorka „Reginki” z przyjętnością zapewne odczyta tu zdanie Świtezianki, że „powlastka ta płynie, jak najspokojniejsza woda, a taka kłiwa i zdaje się, że się w niej widzi żywy obraz przedstawionych osób”. Czekamy niecierpliwie obiecanych szczegółów o tej młodziej siostrzyczce, co się do lez rozczula przy czytaniu „Reginki”.

Kaziowi R. w Szadku. Zasmucił nas bardzo liścik, donoszący o tyłu chorobach. Dziwna to rzecz naprawdę, że młodzież, zahartowana na północy, w łagodniejszym tutejszym klimacie tak ciągle zapada na zdrowiu. Dziękując za życzenia przesyłamy wzajemne, a przelewszyskciem życzymy powrotu do zdrowia i prosimy o wiadomość, choćby najkrótszą, czy Władzio się ma lepiej. Mnie zasylały ukłony a Maniusi uścisk serdeczny.

Ewci R. w Hołonetach. Łamigłówka jest dobra i będzie drukowana, a za liścik dziękujemy bardzo, bo napisany jest starannie, kaligraficznie i bez żadnej omyłki. Nie możemy odgadnąć, dla czego doświadczenie fizyczne się nie udało, musiała być jakaś niedokładność, trzebaby je powtórzyć raz jeszcze z pomocą starszej osoby.

Ukraince na Mazowszu. Nadesłanego rubla rozdzieliliśmy według życzenia pomiędzy dwie ubogie kobiety. Nigdy nie żądaliśmy dla nich hojniejszych datków, bo z takich, a nawet i daleko drobniejszych kwot, najłatwiej zebrać znaczną sumę, byle się dużo osób na to złożyło. 10 groszy, to tak mało dla zamożniejszego dziecka, cena jednego ciastka; a jednak gdy się zbierze dziesięć takich dziesiątek, już i rubel gotowy. Mamy nadzieję, że kochana Ukrainka i na wsi o nas nie zapomni i doniesie szczegółowo, czy piękne swe zamiary w czyn wprowadzi.

Jastrzębiowi. Chociaż Słowiczek sam łatwe łamigłówki układa, umie jednak czasem i trudniejsze odgadywać, bo przesyła nam trafne rozwiązania: Tyle zadań konkursowych rozmaitego rodzaju podajemy w „Wieczorach”, że zapytanie Jastrzębia, czy przyjmujemy wypracowania naszych czytelników, zadziwiło nas niezmiernie. Czyżby ptak kochany nic o tych zadaniach nie wiedział? Wszakże i nagrody za nie rozdajemy.

Sikorce. Już nam troszkę było markotno, że kochana ptaszyna o nas zapomniała, wybaczymy jej jednak, bo pewnie przez ten czas nie próżnowała, a teraz tak miłym znów szczebiotem odezwała się do nas i do Kazia, który poleca się przyjaźni Sikorki i prosi, aby o jego zadaniach pamiętała.

Obu Jaskółkom, z nad Sekwany i z nad Wisły, przesyła pozdrowienie Sikorka, a autorce „Reginki” podziękowanie za piękną jej powieść.

Edwardowi S. Zadania konikowe układają się według pewnych prawideł, zgłoski powinny następować po sobie w takim porządku, jak skoki konika na szachownicy, ztąd pochodzi nazwa zadania konikowego. Druga łamigłówka jest dobra.

Niezabudce z nad Sony i Stokrotce z nad Łydni. Rozwiązania są trafne, ale radzibyśmy coś więcej znaleźć w liścikach.

Zygmusiowi S. w gub. Kowieńskiej. Dawnośmy już nic nie słyszeli o Zygmsiu, aż w końcu doczekaliśmy się bardzo przyjemnej wiadomości, że kochany ten chłopczyk zasługuje na pochwałę, bo od pewnego czasu odznacza się coraz większą pilnością w naukach i uwagą. Szczerze się temu cieszymy i winszujemy Zygmusiowi, a zarazem dziękujemy za ładnie napisany liścik i życzenia świąteczne.

Stasi i Janince S. Dwa ruble przysłane dla biednej wdowy, matki trzech dziewczynek, przydały się jej bardzo, gdyż straciła

miejsce w fabryce i teraz z pieniędzy, które się dla niej zbierają w naszej redakcyi, chce sobie założyć tak zwaną *Izbę z kawą*, gdzie zamierza sprzedawać kawę i herbatę dla robotników i z tego mieć utrzymanie. Prosimy bardzo kochanych naszych czytelników o nadsyłanie i nadal na ten cel choćby najdrobniejszych datków.

Pani L. w Kutach. Wysłałiśmy dla pani przez Księgarnię dwa pierwsze tomy *Historji Powszechnej Weltera*, atlasik stosowny, gdyż historyi z mapami niema i *Historją literatury Mecherzynskiego*. Z przesyłką kosztują te książki rs. 5 kop. 72, pozostaje więc kop. 28. Wszelkich rad i wskazówek udzielamy chętnie prenumeratorom naszym, którzy nas zaufaniem swoim darzą, ale co do podręczników naukowych polskich, tak mało ich jest w ogóle, że trudno bardzo wywiązać się z tego zadania. *Encyklopedia Miłowskiego*, bardzo przestarzała, oddawna w handlu wyczerpana, nie znamy obecnie innego tego rodzaju dzieła, oprócz *Encyklopedyi Orgelbranda* mniejszej w 10 tomach. *Podróży lub opisu Ziemi Świętej* dla młodzieży także niema. O książkach, wychodzących na *Gwiazdkę*, podajemy co rok wiadomości, może Pani coś z dawniejszych lub nowszych rzeczy wybierze. Książka do nabożeństwa zapewne będzie stosowna „*Wielbij duszo moja Pana*” w oprawie ze złoceniami brzegami kosztuje 2 rs. kop. 40. Są także różne male książeczki, możemy się w tém zastosować do nadesłanej ilości pieniędzy.

Nieznajomiej. Trudno jest niezmiernie w takim razie radzić, na niewidziane, możemy więc pani dać tylko parę ogólnikowych wskazówek. Z dzieckiem, które ma niewielkie zdolności i niezbyt jest chętnie do nauki, należy postępować bardzo oględnie, a przede wszystkim starać się umysł jego rozwijać, skłaniać do zastanawiania się, a nie przeciążać pamięciową nauką i nigdy nie iść dalej, póki nie zrozumie dobrze tego, co było zadane. Tu jednak o ile się zdaje, nie brak ani roztropności, ani ochoty do nauki, mo że więc tylko troszeczkę za mało uwagi i pilności, co z czasem niezawodnie się znajdzie, przy umiejętnym kierunku. Szczególnie pilnować trzeba, aby dziecko, lubiące czytać, nie pochłaniało książek zbyt prędko i bezładnie, lecz powoli i z zastanowieniem czytało tym sposobem jedynie korzyść z tego odniesie.

Zagadka (Kos).

Stoję zawsze nad wodą, sam nigdy nie piję,
Chociaż nie potrzebuje, co chwila się myję;
Kiedy się schylam, to się wznoszę,
Kaźdemu daję, sam o nic nie proszę.

Łamigłówka głoskowa.
(Od Orła dla Słowika).

Rak—kuna—ibis—kot—krowa—dynia—lew—szczygieł—mak — Wybrać z tych wyrazów po jednej literze, aby ułożyć nazwę jednej z pięciu części świata.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Łamigłówki głoskowej:

Sanna — Panna — Wanna.

Łamigłówki w kwadraciku:

S E N
E W A
N A D